



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta

kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

### NIEWIASTA POLSKA

#### W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg.)

Bernard Głowacki i Grzegorz Moskorzewski. — Panna Brygida i Justysia. — Przechadzka majowa po ogrodzie wojewody. — Oświadczyzny Głowackiego. — Początek pieśni Franciszka Karpińskiego. — Wyjazd. — Panny Respektowe dwór opuszczają. — Panna Brygida bogata, Justysia uboga. — Rozmowa dwóch przyjaciół, postanowienie. — Podróż do Łukowa. — Spotkanie Moskorzewskiego z panną Brygidą. — Na wojtowstwie. — Pani Stolnikowa Rzewuska. — Justysia.

Stare panny lubiące kwiaty i ptaszki dłużej zachowywały świeżość oblicza, blask spojrzenia, jakby Opatrzność powstrzymała rękę czasu, aby na te uśmiechnięte i pełne łagodności twarze, jak najpóźniej wyciskała pergaminową barwę, a zmarszczki na licu i czoło. Czując całą swoją niedolę, smutne sieroctwo na Bożym świecie, a złamane życie stara panna gdy nie mogła zostać żoną i matką, w gorącej a rzewnej modlitwie składała skargę swoją, ale z miłością spoglądała na ludzi, rada im służyć ile podoła i żyła w zgodzie ze wszystkimi.

Kochała młode towarzyski swoje, z uwielbieniem spoglądała na dorodne żony i młode matki; przyjaźń jej była szczerą, a poświęcenie dla wybranej towarzyski nie miało często granic.

Jakkolwiek nie gardziła czasami kabałą i słuchała z biciem serca wróżby wędrowniej starej cyganki, szukała jędrą i pracy pożytecznej nietylko

dla siebie, ale i dla osób, które jej otoczenie stanowiły. Z tego powodu zjednywała sobie ich przyjaźń, współczucie, połączone z szacunkiem wszystkich co ją bliżej poznali.

Jeżeli pierwszy gatunek starych panien zaufanie niedoświadczonych pańienek lub mężatek wyzyskiwał jako pończotną zdobycz do osnuwania szkodliwej plotki; drugi nigdy nie zdradził położonej ufności, ale zdrową radą jak rzecz pojmowały, i jak im serce zacne podszeptowało, podpierały.

Doskonale nam obadwa typy malują zdarzenia brane z życia do scharakteryzowania jednego i drugiego gatunku.

Głowacki Bernard i Moskorzewski Grzegorz byli od lat dziecińczy serdecznymi przyjaciółmi. Na jednym dworze poznali dwie panny respektowe, rozkochali się w nich, i zjednali sobie wzajemność.

Były to miłości dzieciinne, lubo panna Brygida, którą ukochał Moskorzewski, zaczynała rok dwudziesty szósty, ale za to bogdanka Głowackiego liczyła lat trzydzieści, a te miłości otaczał urok pierwszego uczucia, pierwszego uderzenia serca, jak wyrażała panna Brygida, a takie wspomnienia pozostają niezatartymi niezem w pamięci każdego.

Obaj rówieśni, bo rodzili się w jednym roku i jednego miesiąca, kończyli po lat osiemnaście. Synowie ubogiej zagonowej szlachty, oddani byli przez ojców swoich na tenże sam dwór magnacki, gdzie te dwie panny bawiły, ażeby sobie zaskarбили łaskę pańską, a z nią i przyszłość własną.

Brygida smukła, wysoka, twarzy pociągłej, brunetka, o czarnych oczach tryskających ogniem i kruczych włosach, ostrych rysów nieco, żywością i zalotnością do razu zhołdowała sobie pana Grzegorza. Panna Justyna, dopiero z dzieciennego wieku na podlotka fruwając, niższa wzrostem, blondynka jasna, miała oczy habrowe, ale tak wymowne, spojrzenie tak rzewne, że pan Bernard, kłęczący przed nią całe godziny i dnie zapatrzony w uroczę jej oblicze, czerpiąc z niego niewysłowione uczucie duchowej rozkoszy. Twarzyczka drobna, o regularnych

rysach, płeć biała, a na niej wybijające żywe rumieńce, zębki perłowe, zakrywały usteczka kształtne, różane. Do całej postaci wiotkiej, małe rączki i nóżki, składały całość pełną harmonii, a pociągającą.

Po krótkiej znajomości obie pary zbliżyły się do siebie. Pan Grzegorz po hucznej uczucie we dworze, rozgrzany starym węgryzmem, którego spełnił duży puhar za zdrowie Jasnie Wielmożnego Pana Dobrodzieja, w kredensie, gdzie ustawiała srebrne sprzęty stołowe panna Brygida, oświadczył się i zyskał przychylnie słowo wzajemności. Pan Bernard dłużej się ociągał z wyznaniem swych uczuć dla zachwycającej Justysi.

Wspaniała, murowany dwór, gdzie przemieszkiwali, otaczał wielki ogród, a z nim łączył się obszerny zwierzyńiec. Maj już był przy schyłku, kiedy wieczorem, w czasie nieobecności państwa, bo wyjechali do Warszawy—panna Brygida namówiła Justysię do użycia przechadzki w ogrodzie, umówiwszy się z panem Grzegorzem, aby na nią oczekiwał; już byli oboje po wzajemnem wyznaniu swych uczuć.

Posłuszna, łagodna Justyna poszła za przyjaciółką; w gęstych lipowych szpalerach spotkali Moskorzewskiego, który zaraz podał rękę pannie Brygidzie.—Dziewczątka westchnęło z cicha i trochę się zasmuciło, że musi iść sama, gdy przed nią idąca para, tak serdecznie się witała i teraz wesoło gawędziła z sobą.

Ale smutek był krótki, albowiem na zakręcie szpaleru do altany, gdzie się zaczynał kwiatowy wirydarz, spotkała swego Bernarda, którego troskliwie wypatrywała w około. Panna Brygida uśmiechnawszy się złośliwie, rzekła do młodej przyjaciółki.

— Każda Marta trafi na swego Gotarda: Justysiu! podaj rękę panu Głowackiemu, a ja pójdę ze swoim Grzegorzem.

Ośmielony temi słowy Bernard podał jej rękę

i obiedwie pary zaczęły miłą i swobodną przechadzkę.

Wieczór majowy był ciepły, pełen balsamicznej woni: księżyc wypłynął na pogodne lazury niebios, żadną chmurką nie zbrudzone i rozjaśniał tak ogród jak zwierzyńiec cały. Setki słowików zawodziło w gąszczach i cieniu swe cudowne śpiewy. Chwila to uroczą, młode serce porywająca w zachwycenie. Bernard dotąd nieśmiały, gdy po tysiąc razy mając gotowe na ustach wyznania uczuć swoich, cofał je z trwogą, teraz kiedy Justysia usiadła pod rozłożystym jaworem, ukląkł przy jej małych stopkach, i ze znanej a w całym kraju śpiewanej pieśni Franciszka Karpińskiego, z cicha, drżącym a rzeźwym głosem początek jej zadeklamował:

Potok płynie doliną,  
Nad potokiem jawory,  
Tam ja z tobą, Justyno,  
Słodkie pędził wieczory.  
Noc się krótką zdawała,  
Żegnamy się z świtaniami,  
Miłość sen nam zabrała,  
Miłość żyje niespaniem!  
Nikt nie widział, nie sztydził,  
Niebo, świadek jedyny!  
Jam się nieba nie wstydził:  
Miłość była bez winy!

Ostatni wiersz tak porywającym wymówił głosem, że Justysia, jakby pod zaklęciem czarodzieja, drobne białe rączki oparła na jego ramionach i najcichszym głosem wyszeptaną: *kocham cię!*

Słowo to przeniosło Bernarda w nadziemską, rajską krainę; była to chwila dlań najszcześliwsza w całym życiu i została taką we wspomnieniach jego na zawsze. Wkrótce ukazała się panna Brygida z Grzegorzem, i już blisko północy wrócili do dworu, gdzie reszta towarzyszków używała wesolej zabawy.

Po roku jednakże najmilszego pobytu obaj przyjaciele wyruszyli do Legii Włoskich. Wkrótce po ich wyjeździe, panna Brygida i Justysia, musiały dwór wojewodziny opuścić, gdy cały jej majątek i męża, poszedł na zaspokojenie licznych wierzytelni, a państwo samo opuściło kraj, aby wstyd swój z ubóstwa w obczyźnie zataić.

Panna Brygida osiadła przy swej ciotce zamożnej w pobliżym mieście; na swe nieszczęście po babce pozyskała spadek przeszło 30,000 złp., co na owe czasy było już pięknym majątkiem. Dumna bogactwem wianem, zaufana w swych wdziękach, z pewną rozkoszą dawała odprawę licznym zalotnikom; ich smutek, a niektórych prawdziwa boleść nawet i rozpacz, sprawiała jej przyjemną rozrywkę. Nagła rada zanej ciotki, aby raz stanowczy wybór uczyniła, zbywała ogólnikowo, że dla żadnego nie czuje miłości, a bez tego uczucia, więzów małżeńskiego pożycia nie przyjmie.

Czas rączy szybko ubiegał: przeszły trzy krzyżyki i czwarty się zaczął. Ciotka z trwogą spoglądała na siostrzenicę, że traci widocznie rumieńce na twarzy, białosc lica ustępuje barwie żółtawej i smutne wróżki ubiegłej młodości, zmarszczki, przy oczach i na czole, coraz gęściejsze występują. Ale panna Brygida słuchała więcej podszeptów miłości własnej, niżeli zdrowych rad przywiązanej ciotki; zwierciadło, w które po kilkukroć w każdy dzień spoglądała, zapewniało ją, że nic nie straciła na urzędzie, ani w wyrazie młodości. Pomimo to więcej się stroiła, a coraz ubywało z grona zalotników. Najwytrwalszy pozostał w końcu jeden tylko, na którego z pewnością rachowała, ale i ten zrażony coraz bardziej cierpkim jej obejściem, powoli się usunął, i niedługo młodą i piękną, a nawet zamożną szlachciankę zawiódł do parafialnego kościoła, jako swoją małżonkę.

Zawód, jakiego doznała panna Brygida, srodze ją dotknął, do tego przyszła nowa boleść, gdy jej ciotka zmarła. Wprawdzie pocieszyła się wkrótce, bo jej zapisała dom, w którym mieszkała, z ogrodem i gruntami. Wiano więc panny Brygidy znacznie się powiększyło, ale pomimo posagu, już się konkurent odpowiedni jej myśli i życzeniu nie pojawił, lubo nie brakło zalotników z podżytych wdowców i znanych utracyuszów.

Po ukończonem żałobie, otworzyła dom swój i zbiegła się ciżba kumoszek, zasmakowała w ich to-

warzystwie, a piornując na mężczyzn i pokazując im wzgardę, oddała się z zapalem plotkom i dewocyi.

O miłej i pięknej Justysi przyglęchtło, wiedziano tylko, że bawi u krewnych na wsi i lubioną jest powszechnie.

Po piętnastu latach Głowacki i Moskorzewski razem powrócili, ale już dalej służyć pod chorągwią nie mogli, złamani nie wiekiem, bo obaj liczyli dopiero 34 rok życia, ale złamani ranami i trudami obozowemi.

Rodzice im pomarli; co po nich otrzymali, wystarczało na porządne dla każdego utrzymanie: dla przyjemności jednak własnej postanowili mieszkać razem i żyć wspólnie. Zgodność ich charakterów, przywiązanie i miłość braterska, to im nakazywało. Najeli więc sobie mały domek na przedmieściu Warszawy i zaprowadzili równie małe gospodarstwo.

Nadeszła zima śnieżna i mroźna; u podżytych wojaków ciepło było w domku, bo suty gorzał ogień na kominie.

Po kilku partyach w *Warcaby*, rzekł Bernard do swego przyjaciela, zapalając fajeczkę naładowaną *wirginim* na długim, pieprzowym cybuchu.

— Wiesz co mi przychodzi nieraz na myśl mój Grzegorz? Staje mi często moja Justysia w pamięci, a nie zapomnę nigdy chwili, gdy w ogrodzie Wojewody oświadczył się jej i pozyskał wzajemność. Ach! to wspomnienie ożywia, odmładza człowieka. Cobym dał za to, żebym ją zobaczył jeszcze!

— *Saperlot!* zawołał Moskorzewski, a to rzecz dziwna, bo mi ciągle śni się moja Brygisia jak wyciąga do mnie swoje rączki, wzywając mnie po imieniu. Gdzież ona teraz, po tylu latach! co się z nią dzieje!

— Wiesz co! mówił Głowacki, przez tę zimę dowiemy się przecież co się z niemi stało i gdzie przebywają, z wiosną gdy się ociepli, a nim słowiki ucichną, ruszajmy na odszukanie naszych kochanek!

Moskorzewski wyciągnął rękę do niego i uściśnęli się jakby dawali sobie uroczyste zaręczenie, że spełnią te zamiary.

Od tej chwili, jakoś się w małym domku zrobiło weselej, krótkie były, chociaż w rzeczy samej długie wieczory zimowe, bo je umiły wspomnienia i najdrobniejsze szczegóły pierwszych w życiu zalotów, uwieńczonych tak pomyślnie. Wspomnienia te były jak cudne kwiaty, które sypała im Opatrzność na drodze ich wędrówki światowej: ożywiały obudwóch, budząc nieraz do serdecznego śmiechu i nieznanego już im oddawna weselości.

Po usilnych zabiegach, wywieździeli się nareszcie o miejscu pobytu obu swych dawnych bogdanek. Moskorzewski nie miał wieści o bogatym wianie panny Brygidy: Głowacki miał dokładną wiadomość o Justysi, że w chudobie żyje przy dalekich krewnych.

Czekając na ciepłą porę, robił każdy troskliwie przybory, ażeby wystąpić przed swoją panną jak na *paradę* i dobrze się zaprezentować. Sprawili sobie fraki wedle mody i sute czamary. Na szczęście ich panna Brygida mieszkała w Łukowie, a Justysia w okolicach Łosic, o kilka mil dalej.

Ruszyli więc w połowie czerwea najętą bryką żydowską, i po pięciu dniach utrudzającej drogi, stanęli wreszcie w Łukowie.—Po dziennym odpoczynku, za pomocą faktora pan Grzegorz dowiedział się z podziwieniem, że panna Brygida jest bardzo bogata, bo: „ma dom, ogród, grunta i wielkie kapitały“.

Po długiej więc naradzie z przyjacielem postanowili przedstawić się niejako Moskorzewski, ale pod innym nazwiskiem jako jego towarzysze broni. Bernard pochwalil mu ten zamiar, pomógł do *tualety*, wyszarcował mu dobrze wąsy, a gdy ujrzał go we fraku, z radością przyznał że jest dorodnym chłopcem, i jego *kolega*, może jeszcze niejednej, nawet młodej panie głowę zawrócić.

Poznać go dawna kochanka nie mogła po piętnastu latach, gdyż podrósł znacznie, zmężniał, twarz ogorzała, zarósł bakenbardami gęstemi, z sumiastym wąsem, a na lewym policzku głęboka rysowała się szrama od cicia pałusza.

Pod wieczór przeto wyruszył do domu panny Brygidy wskazanego mu przez faktora.

Z niechęcią wzruszeniem przestąpił jego progę. Za ledwie wszedł do pierwszego pokoju—jakiż go wi-

dok uderzył! Dwa wielkie koty jeden czarny, drugi w pregi, wygrzewając się na oknie pomiędzy doniczkami *geranii* i *pokrzywy*, zwrócili nań swe iskrzące ślepie, i w tejże chwili gromada małych pieszków, mopsów i szpiców opadła go w około, szczekając zajadliwie. Głos piskliwy z przyległej alkowy zapytał:

— Kto tam?

A gdy odpowiedzi nie było, ukazała się sama panna Brygida. — Poznał ją Moskorzewski do razu, ale cofnął się przerażony, widząc jak się strasznie zmieniła. Twarz wychudła nabrała więcej ostrości, usta zbladły, zmarszczki zorały lica całe, i zbrudzone wały tak gładkie czoło; oczy straciły dawny blask i życie; młodość uleciała, a starość wystąpiła na obliczu i w całej postaci, bo już nieco pochylona chodziła.

Widząc przystojnego i elegancko ubranego gościa, zapytała jak mogła uprzejmie.

— A czego pan sobie życzy? czy ma pan do mnie interes?

— Mam do pani zlecenie od mego kolegi Grzegorza Moskorzewskiego; odrzekł drżącym nieco głosem z doznanego wzruszenia i zawiedzionych marzeń.

— Jakież to być może?

— Ranami okryty leży w Warszawie i wzywa pani pomocy, przypominając się jej dawnej pamięci.

Panna Brygida wstrząsnęła się nieco—ale cierpko odrzekła:

— Proszę pana, *co było a nie jest, nie pisze się w rejestr*. Te wspomnienia to już zwięzły, ale kto chce się dobrać do mej kieszeni, to mu powiem *wara!* Takich biedaków co wzywają wsparcia jak pan Moskorzewski mamy pełno i trzeba samemu z głodu chyba umierać, gdyby przyszło wszystkim dawać. Żałuję pana Grzegorza... ale nie dać nie jestem w stanie.

Na te słowa porwał się gość z krzesła z podziwieniem panny Brygidy, drżący gniewem i zawołał grzmiącym głosem:

— Ten Grzegorz Moskorzewski to ja, łaskawa pani, ma on dosyć na przyzwoite dla siebie, a nawet i żony utrzymanie, łaski innych nie potrzebuje i nie wyciągnie ręki żebraczej po grosz cudzy. Trudniłem się widzę nadaremnie daleką z Warszawy podróżą, ciągniony *zwięzłem*, jak dobrześ pani powiedziała wspomnieniami, a które dotąd były dla mnie bardzo drogiemi. Nie powiem nic więcej, bo bym mógł sobie uchybić i prawom gościnności. Żegnaj cię pani na zawsze! Moja ukochana Brygisia w tej chwili umarła...

Pani domu skamieniała—dawny kochanek w tem uniesieniu był w całym znaczeniu tego wyrazu pięknym mężczyzną. Oczy jaśniały ogniem młodości, rumieniec wybiły na ogorzałe oblicze, głęboka szrama na policzku, która krwią zabiegła, dodawała wdzięku jeszcze całej postawie.

Patrzyła nań z zachwytem, i jej spojrzenie się ożywiło—teraz gotowa byłaby poświęcić cały swój majątek, aby mieć takiego męża—ale Moskorzewski oddawszy poważny uклон, wybiegł co rychlej na ulicę, i podwójnym krokiem wrócił do austeryi gdzie noclegowali. Bernard czekał w bramie na niego, ale ujrawszy go w niezwykłym wzruszeniu, nie wyrzekł słowa i zasmucony poszedł za swoim przyjacielem. Pan Grzegorz zrzucił frak, włożył czamarkę, zapalił fajkę i długo z gniewu sapiąc, puszczał gęste tumany dymu. Wreszcie zawołał:

— *Saprement!* do tysiąca fur, beczek batalionów, regimentów dyabłów! Już mnie więcej nie zobaczysz.

I porwał się z siedzenia, zaczął biegać po izbie, a bijąc się cybuchem po cholewach obu nóg, powtarzał ciągle...

— Już mnie więcej nie zobaczysz, gdybyś się tu u nóg moich czołgała, i wiła jak wąż! A to *saprement* czarownica nie panna.

Gdy się nieco uspokoił, opowiedziawszy przyjacielowi szczegóły swych odwiedzin u panny Brygidy, kazał co rychlej zaprzęgać, i w godzinę niespełną już wyruszyli piaszczystym gościńcem w okolice Łosic.

O milę przed tym miasteczkiem słynnym w owe czasy z chodowania ogórków wybornych, których kopę po trzy, a najdrożej po pięć groszy sprzedawali tamtejsi mieszczanie; ujrzeni pod lasem małe *wojtowstwo*, a przy gościńcu w pobliżu karczemkę, w której zatrzymać się potrzeba było.





czeństwo, przetrząsał, aby się przekonać czy bezpiecznie oglądać ją mogę. Jestem mu za to wdzięczną.

— A ja mam taką do niego odrazę, — przerwało dziewczę.

— Ale cichoż! — zbliża się — zgromiła matka.

Dorszak wcześniej zsiadł z konia i czapkę zdjął witając.

— Objechałem — rzekł — nie tylko naszą ziemię, ale się puścił trochę na step i w różne znane mi zakątki, nigdzie żywej duszy. Tatarów wyciągnęli, włóczęgów ani śladu, spokojnie; mogę powiedzieć że oddawna nigdyśmy takiej ciszy i spokoju nie mieli.

— Bóg zapłać za dobrą wieść — odpowiedziała pani Zboińska — idźże waszmość odpocząć, proszę, a później pomówimy, kiedyby się wybrać można i jak?

— Ja mam wózek lekki i konia doń nawykłego, którym wszędzie prawie przejechać można. Wózek nie trzęsie, koń spokojny, drogi przez te dni, nawet po lasach powysychały.

Janasz patrzył nie mówiąc nic. Na uboczu stał Nikita i słuchał tego opowiadania ciekawie. Miecznikowa wzięła rzecz do namysłu — a Dorszak widząc ją milczącą, poszedł na zamek.

— Aż mi się serce śmieje do tej przejażdżki po lasach i górach — poczęła szczebiotać Jadzia — co to będzie za śliczna rzecz! Co my tam za drzewa, kwiaty, zwierzęta, ptaki zobaczymy! Już i tak wiele z tych które widziałam tu, gdybym opisała u nas, toby mi nie uwierzono. A tenże krzaczek co piórami i puchem różowym kwitnie <sup>1)</sup>? a te lilie! I w ręce klasnęła.

Janasz patrzył jakoś smutnie, a Nikita chmurno i z niecierpliwością źle tłumiona. Można go było posądzić, że gdyby na odwadze nie zbywało, do rozmowyby się wmięszal.

— Tak, śliczna to rzecz — rzekł Janasz, nowe kraje i nowe cuda wszechmocności Bożej, ale ja zawsze swoje, że na przejażdżkę nie mogę pozwolić, póki lepiej nie zbadam, którądy ona poprowadzi... i... to moja rzecz.

Rozśmiała się pani Miecznikowa.

— Tyran waszmość jesteś z tą swoją troskliwością o nas, poskarzę się jogomości, gdy powrócimy. Słyszysz!

— Słyszę i na karę choćby o chlebie i wodzie gotów jestem, byłem obowiązku dopełnić.

Jadzia zbliżyła mu się do ucha i szepnęła, zasłaniając się rączką: — tchórz! tchórz! tchórz.

Janasz się zarumienił.

— Zajęczę skórę wam daruję, gdy do Mierzejowic wrócimy....

— Od pani przyjmę ją z wdzięcznością — rzekł Janasz, będzie mi przypominać dopełnione *officium*.

A ksiądz Żudra, który milczał dotąd dołożył:

— Choć to młokos, ale my go słuchać musimy. Wotuję za hetmanem.

— Piękny mi hetman co odwagi nie ma! — wtrąciła Jadzia.

— Ale ja gotówem choć dziś i sam bez towarzysza, gdzie każecie, odparł Janasz wesoło — tylko nie z paniami memi, za które gardłem odpowiadam. Miecznikowa milczała patrząc i przysłuchując się sporom.

— No, dosyć — rzekła — dosyć — hetman niech wysła aby języka dostał, a ja od swojego nie ustępuję. Jadzia też: trochę światła zobaczyć musimy.

Zatem zamilkli wszyscy.

Nazajutrz mgła od rana rozwiła się po górach i deszcz przuszyć zaczął, a ku południowi lał na dobre i wszystkie plany wycieczki pomięszal i zawiesił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

<sup>1)</sup> Scopia (Perrückenbaum).

## KOLONISTA W IRLANDYI

### TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

**Pawła Heise**

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

### AKT III.

(*Alkierzyk Hanny, w głębi otwarte okno; z prawej strony łóżko pod kotarą, z lewej drzwi do dalszego mieszkania. Pod oknem stoliczek z przyborami do robót kobiecych i biblia, która leży otwarta. Ciemno.*)

HANNA (*wchodząc*)

Ach! jak ciemność straszy mnie dzisiaj, jak mi ciężko na sercu, jak okropnie!... Kwiaty w ogródku zatruwają dziś powietrze wonią swoją, nie mogę oddychać.... Zamknę okno.... Nie przyjdzie on dziś pod nie ani jutro, ani pojutrze.... Nigdy! nigdy już!... (Przymyka okno i stoi oparta rękami o stół) Boże! Boże! zdaje mi się, że serce pęknie mi w piersiach.... Zdaje mi się że słyszę ciągle głos jego, wołający mnie, wzywający ratunku. Ale on już daleko.... Gonią go, ścigają jak dzikiego wilka, przepędzają coraz dalej, dalej.... Już teraz nie nie słychać.... Obląwa przepadła gdzieś wśród ciemności, gdzieś wśród cieniów nocnych, i tu cicho już jest jak w grobie; tylko moje rozdarte na dwoje serce powiada mi boleścią swoją, że żyję jeszcze, że to w koło mnie nie mogiła.

O mój biedny ojcie! jak twoje rozradowanie przeszywało mnie rozpaczą.... — Bóg chce uczynić rzecz poważną — powiedział.... O! stała się rzecz poważna!.... Zabito mnie....

Powinłam była dobrze wiedzieć, że dziś czy jutro musi przyjść do tego i był we mnie głos, mówiący mi to o każdej minucie dnia czy nocy, gdzie się tylko obróciła. Ale nie mogłam przemódz na sobie, aby być mędrzejszą niż byłam, a nikt mi nie poradził, nie pomógł mi.... Ale czy byłabym słuchała rady?... On jeden ma moc nademną, on jeden jedyny.... Powinłam była może dawniej powiedzieć wszystko, matce, rodzicom.... Przysiąc się do tego co mam w sercu i zaprzysiąc, że on temu nie nie winien.... Ani on, ani ja.... nikt, Bóg chyba. O tak!... trzeba mi było powiedzieć wszystko i to, że on dla naszych nie taki zły w sercu, kiedy mnie niebogę tak kocha.... Och! bardzo kocha. Ale teraz czy mi kto uwierzy, choćbym przysięgła na imię Boga samego, choćbym płakała łzami krwawymi!.... Nikt mi nie uwierzy, ani jemu, że on niewinny.... O! ten stary biedak, co tam niedaleko leży z krwawą raną w sercu, ten najszcześliwszy! Gdyby tak mnie kto chciał serce przestrzelić, przebić je kulą na wylot.... (Łka cicho)

ELŻBIETA (*uchylając drzwi*)

Czy śpisz moje dziecko?

HANNA

O matko! matko! któżby dziś spał, ktoby dziś leżał spokojnie?....

ELŻBIETA

To zapal światło i weź Biblię; nie rozżalaj się w ciemności, nie płacz.... Łzy moje dziecko, to słona woda, gryzie oczy i serce.... Ale najlepiej chodź do mnie. I mnie smutno, straszno mi w samotności.... Pogadamy....

HANNA (*żałośnie*)

O czemże matko mogłabyś mi mówić, aby nie było nam smutno?....

ELŻBIETA

O! co to za dzień zaręczyn, co za dzień zaręczyn niesłychanych!....

HANNA

Matko, czy ojciec już wrócił do domu? Powiedz: czy go złapali, czy może obszczonego wpędzili do rzeki?

ELŻBIETA (*namiętnie*)

O gdyby Bóg tak dał, gdyby tak się stała sprawiedliwość Jego i ten zbójca, ten morderca zginął od razu, na miejscu.... na tem samym miejscu gdzie mordował.

HANNA (*żywo*)

Matko nie mów tak.... Nie pomstuj na niewinnego, bo on niewinny.... Nikt mu nie dowiódł zbrodni.... Ale czy oni, łapiący, czy wrócili?

ELŻBIETA

Adam już jest w domu, tylko moje dziecko nie złąknij się.... Padł zaraz niedaleko za wsią, obsłignawszy się z kamienia i musiało go dwóch ludzi wzięść pod pachy i tak odprowadzić.... Nieborak wrócił tak wśród nocy do trupa ojcowskiego.

HANNA

Ale on matko, to jest tamten, James, gdzie jest? Czy go nie złapali, czy uciekł?

ELŻBIETA (*posepnie*)

I znów o niego pytasz! Dziecko najdroższe, nad nim przecież się nie litujesz.... Zbój.... Ach Boże święty.... Kiedy myślę sobie, że chciał w tę niedzielę z tobą tańcować.... O! nie byłiby mu tego dali nigdy, ojciec, Adam, gmina wreszcie, nie byłiby tego dopuścili.... Tyś moje dziecko niewinna jeszcze, jak niemowlę w kołysce i nie wiesz, że dla ciebie to się może dobrze stało, iż go raz wygonili złąd na zawsze. On na ciebie źle patrzył, on.... O dziecko moje, powiadam ci, że to się dobrze stało....

HANNA

Matko, a jeżelibyś się dowiedziała, że on niewinny jest przecież, że on nie zabił!.... Czyż nie dowodził tego jego wzrok, głos? Z taką dumą obrażonej niewinności odpierał zarzuty.

ELŻBIETA (*z powagą*)

Nie chcę takiej mowy z ust twoich słuchać, nie chcę słuchać jak obstajesz za bluźniercą i rozbójnikiem.... Zapal światło, bo w ciemności przystępują do nas złe duchy i ciebie w ciemności przenika gorączka żalosa, która ci serce rozmiękcza nawet dla zbójców. Weź Księgę Świętą, albo klękniij i módl się za Adama, który teraz oto cierpi i pożera łzy nad martwym ciałem ojca zabitego. Nad nim lituj się i dla niego proś pomocy boskiej.... Proś o łaskę Pańską i dla siebie dziecko, boś wstrząśnięta jest w tych czasach zgrozy i przerażenia, i myśl twoja błąka się wśród okropności. (Krzese sama ogień i zapala kaganek) Wszystka krew uciekla ci z twarzy i oczy zamgliły się od płaczu. Idź spać dziecko, a przynajmniej połóż się i wypoczywaj. Ojcu nie może stać się nic złego, bo jest razem ze wszystkimi starszymi gospodarzami. Rozstawili się po drogach i przesmykach aby nie uszedł, a młodzież tylko poszła w pogoń; Adam przecież jest w domu, jak wiesz. Nie czekaj więc ojca i połóż się. Może wrócą nad ranem.... Dobranoc, dziecko moje, pilnuj się, aby sercem nie pobydźdź przeciw przykazaniom Boskim. Dobranoc. (Wychodzi)

HANNA

Dobra noc.... tak, ty matko, myślisz, że dla mnie może być jeszcze dobra noc na świecie. Jutro rano wejdzie słońce, oddadzą ziemi nieżywego, a ci co zostali, obetrą oczy i będą żyć jak żyli, wyjąwszy jednego i mnie.... wyjąwszy jednego, który już tu nigdy nie wróci, wygnany, wypędzony, wyszczwany. Oh, zrobię, tak jak mi kazała.... Będę się modlić, wezwę pomocy Boga, aby mi dał siły, moc, wytrwa-

nie.... (Idzie ku stołowi po Biblię, w tej chwili przymknięte okno otwiera się nagle i James Hennessey wskazuje na stół)

HANNA

Boże!

JAMES

Cicho, jeżeli ci życie moje mife.... Może ci chodziło o to trocha, czy James Hennessey jest wolnym i przyszedł ci to powiedzieć.... Jestem wolny jak ptak w powietrzu i nikt mnie nie dostanie żywego— jeżeli jednakże dbasz o to....

HANNA

O Dżemie, czy nie przy tem oknie przysięgałam ci wierną miłość aż do zgonu; dla czegoż więc raniśz mi tak serce już rozdarte....

JAMES

Rozdarte.... Czyś już uwierzyła może, że to ja zmaszał się krwią szesćdziesięcioletniego starca?

HANNA

Nie, nie Dżemie.... Kiedym cię widziała między ich zgrają grożącą ci, musiałam przyciskać serce obiema rękami, aby nie szarpnęło się we mnie abym nie krzyknęła nagle: — On niewinny! przysięgam na imię Stworzyciela, niewinny....

JAMES

Mój klejnocie, mój aniele najczystszy! Ale ktoby cię słuchał, ktoby zwał na ciebie.... Miał serce pełne nienawiści i ta wybuchnęła przy pierwszej sposobności. Rzucili się na mnie z zajądłością i osłepiła ich wściekłość własna. Ja Hanno, niemniej wiem coś o zabójstwie i tym, które je popełnił—wiem. Spotkałem dziś rano Murphiego, którego znasz, bo był parobkiem u Schweitzerów, otóż on zabił starego.... Zapytałem go co robi teraz, u kogo jest, a on aż zapienił się od złości. Służył u Schweitzerów, bo właśnie Schweitzerowski folwark był kiedyś w posiadaniu jego rodziców, a człowiek jest czasem jak pień głupi i wkorzenia się w ziemię. Ale raz przyszło do zwady między nami. Sługa nazwał pana przybłądą szwabskim, który przyptął z sakwami na plecach; pan wypędził sługę i przysięgł, że nie puści na próg swego domu zbójca irlandzkiego. Było to sześć miesięcy temu i Murphy nie darował nigdy; każda noc karmiła go nienawiścią, z każdą kroplą wody pił zemstę. Odtąd zaczęła się z domem Schweitzerów wojna, która przyprowadziła starą o śmierć ze strachu. Darmo przedstawiał i prosił, bo nie Schweitzer jeden tak poczynił sobie z biednym ludem, a siwa głowa złym jest celem dla mściwej ręki, ale Murphy uparty jest i zacięty.... Teraz już wiesz wszystko, Hanno, teraz już jestem oczyszczony przed tobą....

HANNA (nasłuchując)

Uciekaj, ach uciekaj. Słuchaj, czy nie tu idą, zbliżają się, już są....

JAMES (spokojnie)

Przechodzą ulicą wioski, wracają z polowania na mnie. Wypadli mnie gonić jak gromada dzikich, wrzeszczeli, wyli, pienili się ze złości, a ja przysiadłem w krzaku olszyny nad rzeką i śmiałem się. Miałem za sobą wodę i dwa naboje w strzelbie, coż mi więc zrobić mogli.... Mogłem się oddać śmierci, ale nie im. Adam gnał przodem jak wół wściekły i jak wół osłepły zwał się o kamień. Małom nie pluł na niego. Czy ty wiesz, co w nim miało, gdy się rzucił na mnie? Chciał się zemścić za to, co przeżuwa: za zwycięstwo moje nad nim w sercu twojem.... Nikezemny drągał.... Gardzę nim tak jak robakiem ziemnym i widział to w oczach moich.

HANNA

O Dżemie, dla czegoż tyś zawsze taki dumny.... taki gwałtowny!.... Czemuś nie przemawiał do pana wójta łagodniej....

JAMES

Byłem łagodny jak baranek, miałem w żyłach mleko nie krew, a któż mnie zrobił gwałtownym i wzgardliwym? I ja byłem niemniej szczęśliwy, jak Adam, a kto mnie oszczędzał? Tylko co wypędzono moją siwą matkę z chaty, gdzie się rodziła: poszła staruszka na włóczęgę między obcych. A to nie wszystko jeszcze, nie najgorsze, nie najcięższe. Ja Hanno przez miłość dla ciebie chciałem się jeszcze, jeszcze trzymać spokojnie, i cóż? O! słońce, co jutro wstanie, już nie zobaczy tego samego Jamesa Hennessey, którego widziało dziś zachodząc....

HANNA

Dżemie! coś ty za słowa wyrzekł! Dżemie! więc się to stanie prawdą, o co cię oskarżają?... Stಾನiesz się zbójcą! O Dżemie.... Dżemie?....

JAMES (gwałtownie)

Zbójcą. (Powstrzymując się) Tak, ty mnie, nie-bogo, inaczej nazywać nie możesz.... Będę zbójcą, ale nigdy nie złodziejem, nie przyjdę nigdy krasć owiec z waszych niemieckich owczarni, i nie będę zabijał starców, którzy nie są już żadną przeszkodą na drogach moich. Zaczyna się tu dziać, Hanno, rzeczy straszne.... Nie mów tego nikomu z twoich, ale będą tu niedługo goście.... Francuzi.... Ale ty się nie trwóż; dom twego ojca nie będzie miał nigdy czerwonego ognia na dachu, nie.... Będzie go zawsze pilnował jeżeli nie ja, to kto inny za mnie... Będzie nad nim zawsze gałęz zielona pokoju i wiedzieć będą, że w nim mieszkają narzeczona i oblubienica moja. O Hanno! mną nie wszyscy tak gardzą, jak ci, których nazywasz twoimi.... Kiedyś, gdy oblicze ziemi odnowi się z wiosną przyszłą, a w morzu przepłyną wszystkie wody nieszczęścia, wtedy ja przyjdę do ojca twego i śmiało, wesoło, głośno, powiem mu: — Dajcie mi córkę waszą, aby była żoną moją i matką dzieci moich. (Chwyta ją za rękę z uniesieniem radosnym) Hanno! perło moja. — Ja wtedy znowu będę łagodny i posłuszny wzrokowi modrych oczu twoich.... będę znowu spokojnym rolnikiem w starym siole Carrick-o-Gunnel....

HANNA (zaleśnie i z litością)

O Dżemie! Dżemie! Dżemie!

JAMES (żywo)

Cóż? Nie wierzysz, że tak być może?... Nie masz nadziei....

HANNA (z rozpaczą)

Nie mam.... Może stać się nawet to wszystko coś powiedział, ale nie stanie się nigdy rzecz jedna.... Nie dadzą mi tobie.

JAMES

To cię sam wezmę. (Wesoło) Ja rozbójnik, więc rozbiję tę skarbonę (pokazuje na okno) i skarb mój porwę.

HANNA (z bolesną determinacją)

Dżemie, mnie rozpacz serce rozrywa, mnie w pierśiach tchu brakuje, ale muszę ci powiedzieć rzecz jedną.... straszna, okropna, przerażająca....

JAMES (patrzy jej w oczy długo)

Wiem już... (szyderezo) Powiesz mi że mnie będziesz kochać do grobu, ale przed tym grobem moją być nie możesz.... Trzebaby ci było może kiedy, jak teraz matce mojej, spać pod gołym niebem, a to gorzej niż w grobie.... Prawdą? W grobie się nie marznie od rosy zimnej.... Dobranoc Hanno. (Zwraca się do okna)

HANNA (wstrzymując go)

O! Dżemie, nie odchodź.... słuchaj. Ty o ludziach źle myślisz, bo ludzie byli dla ciebie... ale mnie, o mnie powinieneś sądzić inaczej. Lecz ja mam starych rodziców, ja dziś dziecko ich ostatnie, nazywają mnie ostatnim promieniem swego słońca.... Mamże ich rzucić? Dżemie, mnie ojciec dziś zaręczył....

JAMES (z goręczą)

Z Adamem.... i ty posłuszna, dobra córka zgodziłaś się....

HANNA (smutnie)

Nie Dżemie, byłam ogłuszona i niema. Zamieniłam się w kamień i stałam jak kamienna, gdy właśnie stała się owa rzecz okropna: przynieśli tego trupa skrwawionego!.... Ale Dżemie, ojciec by mnie raczej zabił, niżeli....

JAMES

Przez rany Chrystusowe! ja niepozwołam mu męczyć cię, ja cię obronię....

HANNA (z głuchą rozpaczą)

Czy obronisz przed klątwą ojcowską....

JAMES

Więc cóż chcesz? Bierz błogosławieństwo rodzicielskie i zostań Adamową żoną.... Dobrze, dobrze... Ja się pocieszę: pierwsza lepsza z niebieskimi oczyma podoba mi się.... Ale co długo gadać, już późno wiatr z północy wieje... Dobranoc. (Chce się piąć ku oknu)

HANNA (chwytając go)

Dżemie, Dżemie, nie odchodź, nie rzucaj mnie Dżemie! nie mogę rozstać się z tobą! Rób ze mną co chcesz.... Bierz, poryjaj, prowadź po górach i jaskiniach, pójdę za tobą.... Wszędzie pójdę za tobą....

JAMES (obejmując ją łagodnie i przytulając do piersi)

Wiedziałem, że masz irlandzkie serce, (coraz słodszy głosem) wiedziałem o tem.... Przewalczyło, przeboleło i kocha, jak mu się kochać godzi. Czyż nie napisano jest królowo moja: — Porzucisz ojca i matkę, a pójdiesz za mężem.... Sliczności moje najdroższe! róże moja!.... Gdybyś ty nie chciała kwitnąć dla mnie, serce moje byłoby pustynią, skałą, głazem....

HANNA (drgnąwszy)

Słyszysz? Ktoś idzie!.... Słyszysz?... ach! ojciec....

JAMES (prędko i cicho)

Skoro przysię ci znak, przyjdź natychmiast w góry, pod dąb na Carrick-o-Gunnel. Czy przyrzekasz?

HANNA (w najwyższej trwodze)

Idź! o idź!....

JAMES

Przyrzekasz?

HANNA (popychając go)

Przyrzekam.... Idź.... (Zdmuchuje światło, James wyskakuje oknem; Hanna pada na zydel przy stole i opiera głowę o krawędź)

JAKUB (wchodzi ze światłem, które ręką przysłania)

Czy już spoczywasz dziecko drogie? Przynoszę ci wieść o Adamie.... (Stoi chwilę na środku alkierza i słucha odpowiedzi, nagle spostrzega Hannę przy stole). Śpi, zasnęła nieboga nad Księgą Świętą, a wiatr pewno zagaśli świecę. Nie będę jej budził, teraz lepiej zawsze spać, niż czuwać... o lepiej... Coś też czytała, życie moje najdroższe? (Stawia światło z boku, bierze Biblię i czyta: — „Miły mój jest mój, a jam jest jego. Miły mój najpiękniejszy jest między młodzieńcami, a słodkie jak miód są usta jego“.... Niewinna dusza.... Serce jej jest przy ukochanym, w obec którego mileczy przeciw wstydlivie.... Niech ci Bóg błogosławi i czuwa nad tobą, we śnie i na jawie, we dnie i wśród nocy. Pociecha moja jedyna! radość życia ostatnia.... Raz jeszcze zawołam do Pana niech cię błogosławi jako dobre, uczciwe dziecko, jako czystą, niezawstydzoną niczem dziewczę.... (Ociera oczy, zamyka ostrożnie okno i wzięwszy światło wychodzi)

HANNA (zrywając się gwałtownie)

Ja dobre, uczciwe dziecko! ja niezawstydzona nieczem dziewica! O Dzemsie, nie mam irlandzkiego serca, jeżeli takie serce nie przewraca się w piersi słysząc to, com ja słyszała.... Ojcze! matko! jam wasza córka.... ja was nie rzucę, nie opuszczę, nie zatruję goryczą ostatnich lat waszego życia, nie dam wam umierać samotnie. O Dzemsie, raz jeszcze jeden zobaczę cię, aby pożegnać na zawsze, na zawsze.... Niech Bóg ma litość nad duszą twoją i nademną nieszczęśliwą! nieszczęśliwą!

Zasłona spada.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Jan Lam. — **Głowy do pozłoty** — powieść osnuta na tle stosunków galicyjskich; — tomów trzy. — Lwów, 1874 r.

Przedmiotem naszego ostatniego sprawozdania była z talentem napisana powieść p. Lubowskiego „Na Pochyłości“, która zaczęła o stosunki galicyjskie, ale, zajęta raczej moralnym i psychicznym interesem wprowadzonych jednostek, niedosyć czerpała z czysto miejscowego pierwiastku; tak, że cnoty i usterki ludzkie w niej napotykanie mało się różnią od takichże cnót i usterek współplemiennych, gdziekolwiek napotykanym. — Powieść p. Lamy „Głowy do pozłoty“, także na tle stosunków galicyjskich osnuta, od takiego znowu stopnia wewnętrzną swą treścią kojarzy się z etykieta, tak nawskroś przejęta jest tendencją miejscowego interesu, że już o międze nawet, wśród tegoż samego plemienia, traci niejako swą tendencyjność i pozostaje utworem do rozpoznania tylko pod artystycznym względem.

Nie wiem, ile tendencyjność tej powieści uzasadniona jest na gruncie z którego wyszła, ku temu trzeba by znać stosunki miejscowe bliżej i lepiej niż to możebnem jest dla oddalonego; ale to pewna że my tu tej apostrofy autora wzięć do siebie nie możemy ani w tym zakresie ani w tej formie; a lubo i nam przydałyby się lekcya podobna, lecz ta w inny sposób musiałaby być zastosowana. — Jakkolwiek jednak krytyka szczegółowych objawów miejscowych byłaby poza naszą kompetencją, nie czujemy się przecież wyłączni od prawa głosu w ocenianiu ogólnego tła charakteru co do jego cech plemieniowi wspólnych. — Z tej przyczyny skłonni jesteśmy zaprotestować przeciwko czarnym intrygom i pewnej zbrodnicości, od których nietylko nie jest wolnym obraz skreślony w „Głowach do pozłoty“, ale którymi, rzecz można, teźnie on na wskros. — Grzechami naszego żywota są głównie nieopatrzność i buta; pierwsza wyradzająca bezsilność i upadek, druga niezgodę i egoizm: a jakkolwiek egoizm szkodliwym jest, musimy koniecznie odróżnić ten co wynika z przecenionej wartości osobistej od tego który pochodzi z brudnej chciwości. Jakiś starosta, co dał ku sobie władzę i uposażenia do niej przywiązane, gotów jednak był poświęcić połowę mienia, gdy się odwołał kto do jego wspaniałomyślności. Chciwiec nie poświęci złamanego szeląga na okupienie brudów swojego życia. — Ta cecha historyczna naszego charakteru, naszych zbrodni i ujemności, pozostała nam aż do dzisiaj w głównej swej treści: grzeszymy głową przeważnie niż sercem, i nie u nas to szukać takich Klonowskich, z jakimi spotykamy się w obrazie niniejszym.

Klonowski (ojciec) jest to postać żywcem wyjęta (co niechaj bynajmniej nie ubliża jej oryginalności), z Gaboriau. — Wyobraźmy sobie szlachcica polskiego, który bądź co bądź postanowił być możnym i bogatym, i który w tym celu zaczyna od odarcia z majątku sieroty. Działania jego są jednym szeregiem, mało powiedzieć brudów, ale najpodlejszych krętarstw, oszustw, przekupstwa i zbrodniczych podstępów. Zdaje się że cały mózg tego człowieka jest niczem innem tylko chemiczną retortą łotrów wszelkiej nazwy; że całe jego życie nie miało innej chwili zajęcia prócz zguby bliźniego: wprowadził weń autor kilkunastu różnogatunkowych zbrodniarzy razem, zamalgamował, i wytoczył takiego plu-

gawego i razem silnego potwora, że strach by mu było w oczy spojrzeć, gdybyśmy nie mieli tego monego przekonania, że to potwór egzotyczny. Niech sobie autor mówi co chce, chciwość przybierająca takie formy w czynie, nie była i nie jest właściwością naszego charakteru do tego stopnia, iżby mogła być słusznie wprowadzoną jako typ miejscowy gdziekolwiek bądź; i gdyby nawet zdarzyła się wypadkowym sposobem jednostka tego rodzaju, wypadek ten weale nie może służyć za rację typowego uogólnienia.

Za taką też postacią wloką się i odpowiednie jej komplikacje, oparte na intrygach tak wstrętnych i tak sprężyste napiętych, że przypuszczenie podobieństwa ich w społeczeństwie naszym wyrównałoby zrozpaczeniu zupełnemu o jego jakimkolwiek życiu w przyszłości. Klonowski wyszukuje dla swojej kieszki wszystko: od pojedynczych osób do instytucji, w najkorzystniejszym celu podjętych. Tęga jego głowa zbrojną bezczelnością oraz dobrze wypchany worek radzą wszystkiemu; gdzie nie może on przeskoczyć, tam podejździe; gdzie nie może udowodnić, tam przekupi; sprzedajność i krzywoprzysięstwo ma on na zawołanie. Niechby dwóch takich śmiałków znalazło się na prowincje, — a wszystkie interesa społeczne musiałyby zniszczyć z kretesem i stać się tylko mierzwą dla ich prywatnych widoków.

Przesadzonym jest pan Klonowski jako czarny charakter, a tem samem chybionym; lecz nie chybioną jest myśl dla której służy on niejako za os.

Bo cóż to pomaga p. Klonowskiemu do pomyślnego rozwoju jego zbrodniczych widoków? Oto nietyle nieprawość charakteru drugich, łatwo się z nim na moey powinowactwa sprzymierzająca, — ile znakomita większość „głów do pozłoty“, to jest tych naiwnych i ograniczonych gapiów, umysłów płytkich i srodze biernych, które dają się łapać na błąde jak muchy na miód, a p. Klonowski jest potężnym blagierem. — W tem właśnie zestawieniu leży najwyższa trafność i zasługa utworu: nigdy dosadniej, z większym dowcipem i z większą rozmaitością szczegółów, nie przedstawiono u nas tej chronicznej słabości naszego umysłu oblekającej się w łatwość do wyzykiwania, jak na kartach niniejszej powieści. Co rusz, to „głowa do pozłoty“, to w tej, to w innej formie. Dopiero, pod wpływem innych przekonania, oburza się ktoś na tego nędznika p. Klonowskiego, wyraża się zamarzysto w obec panów braci, gotów nawet obelgami czynnym oburzenie swoje sprawdzić, aliści po osobistem zetknięciu się z oskarżonym, protestuje przeciw samemu sobie, cofa swoje wyrzeczenia i chyłkiem umyka, podwójnie zawstydzony.

Drugiem poparciem tej silnej nieprawości, co rzecz równie smutna, a może i smutniejsza, jest druga, rzeczywista słabość naszego charakteru, podobnie trafnie zaobserwowana, — to apatya już nie „głów do pozłoty“, ale ludzi trzeźwych i dobrze myślących, uosobiona tu głównie w p. Wielogrodzkiego, a w części i w rotmistrzu Starowskim. — Co do tego, zgadzamy się zupełnie z autorem, że jeżeli niejedna sprawa wymagająca ogólnego poparcia idzie oporem mimo powszechnego uznania jej ważności, jeżeli podniesienie dobra lub wytepienie zła odkłada się, opóźnia lub całkiem zaniedbuje, to zawsze połowa tylko winy spada na ludzi złych, na intrygantów i nieprzyjaciół postępu społecznego, a druga połowa winy dźwigają rozumni, poczciwi, ale ociężali, niechętni lub oddający się zwątpieniu. Zakładanie rąk jest równie grzesznem i szkodliwym, jak udział złych albo głupich, których ofiarą musi się stać społeczność, jeśli roztropni i przekonani, przez słabość udziału swego odmówią.

Autor, zaglądając w rozmaite kąci gospodarstwa swojej prowincji, ponapotykał tyle postaci, z tylu stron przedstawiające tę jedną idea zła, że iść w ślad za nim byłoby to niejako powtarzać jego obrazy, czego nam czynić nie wypada. Schwyciwszy jakiego niegodziwca, czy to noszącego się z charakterem prywatnego obywatela, czy urzędnika, czy członka z wyboru jakiej instytucji obywatelskiej, nie napomyka on o nim, ale ciągnie go tam gdzieby niegodziwość jego mogła przedstawić się w działaniu, w czynie, i to w niejednym tylko, lecz w rozmaitych okazyach; — a czyny te nie stoją oderwanie, jakby jakieś strofy liryczne, lecz niemi stosowniemi wiązą się w ogólny dramat, wpływ swój wywiera-

jąc na dalsze jego sceny. Ztąd też przedstawienie rzeczy nabiera niepospolitej żywości i kolorytu.

Z losami młodego sieroty, który niby pisze swą autobiografię, łączy autor w sposób weale nienaciągnięty, opis jego wychowania, zebrał obywatelskich, sądów przysięgłych, fakta odpowiednie epokom wzrostu sieroty; a we wszystkim tem upatruje czarne przeważnie strony, gdzieś tam tylko oświecane błyskami jakiejś rzadkiej duszy szlachetnej. — Umie zainteresować do swych postaci, to obrazami scen z ich życia, to werwą samego stylu, która jest właściwością jego pisarskiego talentu. — Nie sama tylko satyryczna zdolność leży w tym talencie; obrazy rzewne nie chybiły też autorowi: rodzina Starowskich i Wielogrodzkich wzbudza rzeczywistą sympatyę, nie w takim wprawdzie stopniu jak jego potępieni wzbudzają zgrozę i oburzenie, stopień ten nawet znacznie się obniża, nietyle jednak ażeby dobre jego postacie uczynił obojętnymi.

Czy autor poprzestaje na samym tylko przedstawieniu faktów? Bynajmniej; doprowadza on je do logicznych konsekwencji, do takich przynajmniej jakie mu się logicznymi w zasadzie moralnej wydają.

W dotychczasowych powieściach swoich (*Koronnarz w Galicji, Capowice...*), p. Lam nie trudził się nad genetycznym rozwojem charakteru, ani zajmował się wiele psychiczną stroną jednostek. Stawiał poprostu pewne charaktery gotowe, i śledził je w ich objawach głównie skierowanych do strony politycznej kraju; mają też te jego powieści raczej cechę satyry politycznej niż utworu imaginacji. Tę zaś powieść chciał autor uczynić więcej romanssem, i dla tego wyjechał na szersze pole powieściowe, charaktery wielu swych bohaterów prowadząc od dzieciństwa, pod wpływem już to wrodzonych skłonności, już też edukacji i wrażeń działających z zewnątrz. Pod tym względem pierwsze miejsce należy się co do rozwinięcia samemu autobiografowi; drugie po nim zajmuje syn tego sławnego niegodziwca Klonowskiego, który wyszedł na głupca godnego pogardy; ale najwięcej wrażenia niewątpliwie czyni postać Elwiry Starowskiej, córki czciwego rotmistrza.

Dziewczę to, wychowywane pod najpiękniejszemi wpływami ze strony ojca i brata, ale przez śmierć matki pozbawione umiejętnej opieki kobiecej, dostaje się pod wpływ ciotki, lafiryndy skończony, która świadomie czy nieświadomie, rozwija jąrokietyerki i chęci użycia, kryjącej się w niewinnem jeszcze sercu sieroty. Zepsucie to idzie zwolna i stopniowo w miarę wieku i roztaczających się przed dziewczycą ponęt zewnętrznych; żądza hołdów zastępuje uczucie, błyskotka bierze górę nad szczęściem rzeczywistem i trwałem, obłuda coraz bardziej wżera się w serce i w życie nieszczęśliwej, która powoli zabija w sobie wszystko co pięknego na świat z sobą przyniosła lub co na nim zyskała. Zdolna odróżnić dobre od złego, prawość od fałszu, godność od nikiżemności, wyższość od niedołężstwa, w sercu swem nadająca pierwszeństwo towarzyszo- wi lat dzieciennych, rękę jednak oddaje istocie nędznej i znikczemniałej, synowi nędznika i ojcowskiego wroga, dla tego tylko że ów Guccio Klonowski przedstawiał, jak jej się zdawało, w obecnym swym stanie i przyszłych dostatkach, ręką świetnego pochodzenia życia w jakim ciotka zasmakować dała Elwirze. — Jakkolwiek wyniki usposobień i kierunków przez autora przedstawione, jak w tym tak i w innych razach, zanadto może osnute są na tle bajki Krasickiego „miłe złego początki“, jednakże przejmującym jest ten jego komentarz do życia Elwiry, który czytamy w kilka lat po jej ślubie z Gucciem Klonowskim:

Wszedłszy pod dach (w Praterze Wiedeńskim), — opowiada autobiograf, zastaliśmy towarzystwo złożone z dwóch oficerów od kawaleryi i dwóch dam, na które byłbym może nie zwracał uwagi, gdyby jej nie byli zwrócili moi towarzysze. Mr. Richard uklonił się im dość poufale, a generał rzekł z uśmiechem:

— Panie Richard, jak widzę, masz pan weale piękne znajomości?

— *No, yes* — odparł tamten szczerząc zęby z tem zadowoleniem, jakie sprawia miłość własna, pogłaskana z drażliwej strony.

Wszystko to powiedziane było tonem, w którym niktby z pewnością nie chciał słyszeć wzmianki o żonie, córce lub siostrze.

— Któż to jest taki, ta czarująca blondynka? pytał ciekawie stary lubieżnik młodego.

— To polka, pani Klonowska.

Nie potrzebowałem—dodaje autobiograf— bliższych wyjaśnień, domysliłem się reszty.—Meża nie było z nią, natomiast był jakiś rotmistrz, hrabia węgierski i baron czeski; owa zaś dama, znacznie od niej starsza, była wdową po kimś i tytułowała się baronową.

Smutny to, zaiste, ale prawdziwy komentarz dla wszystkich dziewic, co zasadę użycia i świetnienia stawiają sobie za cel przyszłości poza rodzicielskim domem. A kiedy przypominamy sobie że to mowa o córce z takim imieniem i z takiego rodu, o dziecku ojca który złożył z sobą do grobu chlubne i krwawe zasługi położone dla kraju; kiedy przypominamy sobie czystość jego domu modrzewiowego, świętość uczuć rodzinnych jakie go pokoleniami zdobyły, — gotowiśmy przekleństwo rzucić na istotę która w ten sposób daje świadectwo o własnym początku.

Antor, niemiłosierny w odkrywaniu ran, ze wszystkich stronnie swego dzieła zdaje się wołać o zaprowadzenie reform we wszystkich kierunkach życia społecznego: edukacyjnych, obyczajowych, politycznych i ekonomicznych; woła o to głosem mało dotąd u nas słyszanim. — Jego styl, jego maniera, sposób obrazowania, mają w sobie pewne cechy oryginalne, środkujące między formą powieści, a werwą pamfletu, i nadające utworowi charakter wysoko realny.—Razem z nim wołają o to na różne tony i inni autorowie do swego społeczeństwa w rzeczach mniejszej i większej wagi; zobaczymy czy głos ten przedrze się przez mgły apaty i namiętności; czy też ta chroniczna lekkomyślność i opieszałość o jaką nas anatomowie i fizyologowie społeczni oskarżają, jest stanem nieuleczonym.

Kazimierz Kaszewski.

## ZARYSY AZYI ŚRODKOWEJ

(Przez N. Karazina).

(Dalszy ciąg).

Szcęściem dnia poprzedniego pasterze dostrzegli w odległości wiorst 20 od mieszkania Ablaja-bija spoczywający cały tabun dzikich stepowych koni. Ostatnią tę okoliczność stary Kirgiz bez wahania przypisywał mojej szczęśliwej gwiazdzie i oczywiście łaskawości proroka.

Kobiety, dzieci, cały tłum pozostały przeprowadził nas wykrzykami, niskimi ukłonami i na różne sposoby okazywaną troskliwością. Pacholeta kirgizkie na pół nagie towarzyszyły nam najdalej, wykrzywiając się w różne strony i skacząc pomiędzy koniami.

Plan odbyć się mającego polowania był następujący. Jeszcze z wieczora dwudziestu ludzi konnych wysłano dla okrażenia tego miejsca, gdzie dostrzeżono dzikie konie. Z uwagi na niesłychaną czujność tych stepowców wycieczka dokonana być miała z zachowaniem jak największej ostrożności i spokoju. Wedle słów Ablaja wysłani jeźdźcy nocą tylko do rana mogli dokonać tego manewru; a znając szybki bieg kara-kirgizkich koni, można z pewnością twierdzić, że w nocy przebiegły one niemniej jak wiorst 60. — Potem mieli wysłani jeźdźcy powoli zbliżać się do dzikich stepowców i gnić ich w tył do parowu, gdzie było stanowisko drugiej grupy myśliwców, do której i myśmy należeli. Tym sposobem miano postawić dzikie stepowe konie w najgorszym położeniu, jakby pomiędzy dwoma ogniami i tam to przy wejściu do parowu na dosyć równym gruncie miało się rozpocząć prawdziwe szczwianie, podczas

którego jeźdźcy mogli wykazać dostatecznie nietylko własną swoją zręczność, ale i zwinność swych rumaków. Należało zatem spodziewać się ciekawego widoku. Serdecznie dziękowałem Ablaj-bijowi za jego szczęśliwą myśl; oczywiście ograniczałem się na jak najskromniejszych oznakach przyjemności, gdyż mógłbym w przeciwnym razie skompromitować się w oczach koczującej ludności.

Dzień był pochmurny i w dali nad jeziorem widać się gęste kłęby białowego kurzu. Wszystkie okolice były jakby okryte dymem, z gór wiał dosyć chłodny wietrzyk. Kirgizi w ogólności nie lubią jeździć większymi zastępami i wkrótce grupa naszych myśliwców składała się zaledwie z 5 ludzi: z Ablaja-bija, mnie, Bajtaka i dwóch synów sędziwego starca. Reszta powoli jeden za drugim oddzieliła się od nas; jedni odjechali na bok, inni zatrzymali się w tyle, niektórzy wreszcie wysuwali się przodem.

Po dwugodzinnej, szybkiej jeździe, podczas której ledwo byliśmy w stanie podążyć za koniem Ablaja-bija, przybyliśmy wreszcie na punkt z góry oznaczony. Tutaj czekała na nas większa część towarzystwa, a wkrótce potem przybyli i marudery.

Ze wschodu miejscowość była równa, stopniowo ku nam zniżająca się—od zachodu. Bronił nas od wiatru nie wysoki łańcuch skalistych pagórków, między którymi smugowato ciągnęła się powierzchnia Isyk Kula. Gdzieniedzie równina przecięta była rowami wyżłobionymi przez wody wiosenne. Z daleka rowy te odznaczały się żółtym sitowiem, które rosło tutaj dzięki wilgoci, jaką grunt był przesiąknięty. Ogólny widok całej miejscowości był nadzwyczajnie smętny i samotny i jedynie ożywiał się różnorodnością kostiumów i ruchami myśliwych.

Jeźdźcy nie starali się bynajmniej o zachowanie należytej spokojności; zeskakiwali z koni, głośno rozmawiali i śmieli się, poprawiali siodła i pociągali pasy u szerokich, skórzanych spodni. Poły szlafroków pozakładane były w szarawary, co czyniło je podobnymi do kurtek i nadawało jeźdźcom wiele swobody w ruchach. Rozstawiony w wielkich odległościach łańcuch konnych pikiet powiniem był wcześniej dać znać o zbliżaniu się tabunu. Z tą chwilą dopiero właściwa służba na placówkach rozpocząć się miała. Teraz jeszcze każdy swobodnie zajmował się sobą, wcale nie zwracając uwagi na tych, co go otaczali. Jakies dziwne wzruszenie przejmowało mnie do głębi. Trudno mi je było powstrzymać; dawałem je też uczuć koniowi, ściskając nie miłosiernie kolanami chude jego żebra.

Zaledwie upłynęła godzina, gdy przybiegł jeden jeździec, zanim drugi potem jeszcze kilku; były to rozstawione uprzednio pikiety. Całe towarzystwo odjechało na bok, pod osłonę spadzistego pagórka i jakby nagle zamarło na miejscu; konie nasze, zdaje się, pojmowały również konieczność spokojnego zachowania się, gdyż stały nieruchomie, strzygąc jedynie czujnymi uszami. Bajtak od czasu do czasu zlekka trącał mnie kolanem i poruszeniem głowy ukazywał coś w oddali. Ja pomimo wyteżonych z mojej strony starań niczego dostrzedz nie mogłem, prócz gęsto rosnącego sitowia i kłębiącego się тумanu.

Wkrótce jednak do uszu moich zaczął dolatywać jakiś nieokreślony szmer, zdawało się że wiatr zmienił kierunek i wiał prosto na nas. W oddaleniu znacznym zadźwięczało coś bardzo podobnego do wystrzału; zębata powierzchnia zarosła sitowiem zaczęła się żywiej kołysać. Nagle, jak gdyby wyrósł z ziemi, ukazał się dziki koń stepowy, potem drugi, trzeci, kilku razem, a nareszcie cały tabun, złożony z 50 sztuk, wyskoczył z sitowia i pędził ku nam, trochę zbaczając w bok od tego pagórka, po za którym skrył się nasz zastęp. Wedle mojego obrachowania dzikie konie stepowe winny były przelecieć koło nas galopem, nie w większej jak na 150 kroków odległości. Rozległo się stra-

zne dzikie, nieludzkie wycie, a Kirgizi schyliwszy się na szyje swych koni i rozpuściwszy w powietrzu świszające arkany, puścili się z miejsca w szalonym galopie i wpadli na oszałamiony, wystraszony tabun.

Rozpoczęły się szalone wyścigi, jakich nigdy w życiu nie widziałem. W ślad za Ablaj-bijem wskoczyłem na wierzchołek pagórka i przypatrywałem się ztamtąd polowaniu; Bajtak zmieszał się z tłumem łowców.

Żadne wyścigi w Europie nie są w stanie dać pojęcia o tem co się działo przed moimi oczyma. — Głębokie rowy, kolące krzewy, kamienie sterzące na dworze—nie nie mogło powstrzymać galopujących jeźdźców. Dziecy myśliwcy zdawało się nie znają żadnych przeszkód. Rżenie, wycie, jęki koni, krzyki ludzi—wszystko to wzmagając się to słabnąc chwilowo, unosiło się w powietrzu. Jakież oryginalny, żywy, pełen niesłychanej śmiałości obraz!

Niepodobna opisywać szczegółów tej walki dzikich, pełnych energii, bystrych jak myśl zwierząt z takimiż dzikimi myśliwcami. Z Ablaj-bijem spuściliśmy się z pagórka, podążając za galopującymi jeźdźcami.—Wkrótce minęliśmy Kirgiza, który szedł pieszo, wiodąc za uzdę swojego konia, kulejącego na trzech nogach, gdyż jedna z tylnych była złamana w kostce. Jakież ciężki smutek wrytym był na obliczu dotkniętego nieszczęśliwym wypadkiem Kirgiza, z jakąż zazdrością spoglądał na znikających w dali towarzyszy! Następnie napotkaliśmy dziką klacz stepową, wijącą się na ziemi w przedśmiertnych konwulsjach usiłująca zerwać się na nogi za naszym zbliżeniem się. Krew obficie strumieniem płynęła z jej przedniej łopatki; zwierze wpadło właśnie pod ostrze giętkiej piki rozpedzonego myśliwca. Później w dalszym ciągu drogi znajdowaliśmy dzikie stepowe konie albo leżące już martwo, lub też jeszcze wydające ostatnie tchnienia, gwałtownie rzucające muskularnymi silnymi nogami. Małeńki zaledwie jednotygodniowy źrebak smutnie tulił się do boku zabitej matki; ujrawszy nas odskoczył trochę w bok i w gwałtownym dreszczu spojrzął na nas wystraszonymi czarnymi ślepkami. Napotkaliśmy i Kirgiza leżącego w znak bez życia, z wyciągniętymi na krzyż rękami jeszcze ściskającymi włosiany sznur arkana. Ablaj-bij dostrzegłszy, że zamierzam zająć się leżącym bez tehu Kirgizem, szorstko wyrzekł:—Pozostaw go tak: jeżeli jeszcze żyje, to sam ocuci się i wróci do obozowiska, a jeśli umarł to i bez ciebie go ztąd zabiorą. Pamiętając na zasadę, że trudno w obcym kraju zachowywać swoje obyczaje, przejechałem obok nieszczęśliwego nie zatrzymując się wcale. Wyścignęliśmy trzech jeźdźców, którzy zaledwie byli w stanie powstrzymać wszyscy razem wijącego się wściekle w trzech wyciągniętych arkanach dzikiego stepowca.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KATALOG

Dzieł nakładowych i komisowych

Księgarni i Składu Nut muzycznych

M. Glücksberga

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 7 (411) w pałacu JW. Hr. Krasińskiego

Wyszedł świeżo z druku i udziela się bezpłatnie

Osoby z prowincji życzące sobie posiadać, mogą otrzymać za nadesłaniem marki pocztowej na kopiejkę pięć.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — **Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Kolonista w Irlandyi**, dramat, (dalszy ciąg), przez Pawła Heise. — **Przegląd piśmienniczy**, przez Kazimierza Kaszewskiego. — **Zarysy Azji środkowej**, (dalszy ciąg), przez N. Karazina.